

MARINA.

WSPOMNIENIA Z ŻYCIA ARTYSTY W RZYMIE.

PRZEZ

Emila de Laveley.

W roku 1845, korzystając z feryj zwalniających nas od nauki uniwersyteckiej, wybraliśmy się z Bruxelli do Włoch z jednym z moich przyjaciół. Mając jeszcze głowy nabite wspomnieniami starożytności, chcieliśmy przybyć nagle do Rzymu, i odnieść wrażenie jakie wywrzeć były powinny na naszym umyśle pomniki królewskiego ludu. Wsiadliśmy więc na okręt w Marsylii, a vetturino z Civita-Vecchia wysadził nas na bruku miasta o siedmiu wzgórzach, w pierwszej połowie września. Obadwaj mieliśmy listy rekomendacyjne. Mój towarzysz podróży, którego ojciec był przemysłowcem, wiozł list polecający do kanonika św. Maryi i do prałata belgijskiego. Obaj ci duchowni mieli wpływy na dworze Grzegorza XVI, spodziewano się przeto z ich pomocą uzyskać dozwolenie na budowę kolei żelaznych w Państwie Kościelném. Moje zaś listy miały mnie tylko poznać z kilkoma malarzami naszego kraju, kończącymi właśnie swe studia w Rzymie. Ale ani ja nie zapoznałem się z nimi, ani mój towarzysz nie uzyskał koncessyi; odpowiedziano mu bowiem krótko, że Grzegorz XVI póki żyje, nie pozwoli na położenie najmniejszej szyny w swém państwie. Moi zaś malarze, rozpierzchli się po okolicach, w Narwi, Subiaco i San-Germano.

Pozostawieni samym sobie, musieliśmy spełniać rzetelnie obowiązki turysty.

Mimo słonecznego upału i groźb *aria cattiva* (złego powietrza) zwiedzaliśmy codziennie kościoły, pałace i ruiny, i nie wracaliśmy aż wieczór wycieńczeni lecz i zachwyceni. Zalecono nam kawiarnię *Caffè Greco*, gdyż było to miejsce schadзки artystów, a więc przyjemnego przepędzenia wieczorów. Ponieważ najeliśmy nasze

mieszkanie na *via Condotti*, tuż tuż przy kawiarni, więc chodziliśmy tam co wieczór, lecz czekał nas zawsze zawód, bo w kawiarni nie było nikogo. Rozrywaliśmy naszą samotność czytaniem *Teverone* pani Sand, powieści wychodzącej właśnie naówczas w jednym z dzienników francuzkich. O ósmej wieczór wszędzie już było cicho. Z poza dwóch arkad wystających od ulicy, słyszeliśmy tylko melancholijny szmer fontanny wytryskującej w podwórzu sąsiedniego pałacu, a ten przelew jednostajny wody podnosił jeszcze złowieszczą ciszę uroczystą, która ciążyła nad Rzymem, tak wcześnie zdrzemniętym. W kawiarni, w której spodziewaliśmy się posłyszć wesołą i dowcipną gawędkę, opanował nas smutek, zdawało się nam, że siedzimy na cmentarzu. Zaczęliśmy pojmować że się znajdujemy w mieście umarłych, i nie wiem z kąd przyszło mi na myśl poważne słowo Spinozy: *vita meditatio mortis*.

Jednakże pewnego wieczora, usiadł nieopodal nas jakiś młody człowiek. Czyczaliśmy tak chciwie na jakąkolwiek znajomość z *Cafe Greco*, że wejście to wydało się nam prawie wydarzeniem. Mógł to być przecie artysta.

Gdy wyszedł, zapytaliśmy garsona, czy znał tego młodzieńca. Rzekł nam: że jestto malarz, Niemiec. *Ma*, dodał wzruszając z pogardliwą litością ramionami, *ma e pazzo*. Waryat? Przewzisko to zdawało się nam niesprawiedliwe. Żądaliśmy wytłumaczenia, lecz nie mogliśmy wykołatać nic innego prócz tego, że towarzysze malarza żartują sobie z niego często, mówiąc że traci głowę.

Nazajutrz, gdy usiadł przy stoliku obok naszego, dostrześliśmy rzeczywiście, iż jest bardzo zamyślony. Chwilami wpadał w głęboką zadumę, to znowu mówił do siebie zcicha. Gdy jednak wydawał mi się dobry i uprzejmy, podszedłem ku niemu zapytując, czyby mi nie powiedział, gdzie moi towarzysze znajdują się na *villegiaturze*. Znał ich wszystkich, a z kilkoma był nawet dość ściśle zaprzyjaźniony. Rozmawialiśmy o ich talencie, o ich usiłowaniach, poczem poczęliśmy mówić o sztuce w ogólności i o owych abstrakcyjnych ideach, tak ulubionych młodemu wiekowi. Ożywił się trochę rozmową, i oczarował nas nowością swych poglądów i głębokością swych teoryj. Piérwszy to raz zrozumielśmy zasady estetyki niemieckiej, podane żywo jego wymową.

Odtąd spotykając się często w kawiarni, weszliśmy w pewną zażyłość. Nasz nowy przyjaciel był Niemcem, ale wiedeńskim. Miał oczy i włosy czarne, ruchy szybkie, umysł entuzjastyczny a leniwy. Płynęło trochę krwi wołoskiej w jego żyłach, ztąd było w nim coś wschodniego. Był napół człowiekiem Północy, a napół Południa. Nie można mu było odmówić dowcipu ani wyobraźni, brakło mu tylko woli.

— Jeszcze panom nie mówił o niej? spytał nas garson pewnego wieczora.

— A o kim to?

— No, o téj kobiecie co jest modelem w jego pracowni.... Przez nią zwaryował. Gada głośno jakby marzył.

— Czyż więc w niej bardzo zakochany?

— *E sicuro* szalenie, i to proszę ja panów w *modelce!* Powiada że ona jest czystą jak święta. no i naturalnie śmieją się z niego koledzy. Zamiast pojechać razem z nimi na wieś, naraża się w Rzymie na złe powietrze i na febrę, byle tylko nie oddalić się od niej. Nie śmieszneż to, jak siebie szanuje. Kochać się w *modelce!*... *Povere pazzo!*

Radzibyśmy byli bliższych zasięgnąć szczegółów co do téj kobiety, która tak opanowała serce naszego znajomego, ale garson tyle wiedział co posłyszał od żartujących kolegów. Nie śmieliśmy zaczepiać o to Waltera (naszego wiedeńczyka), ale mieliśmy kogoś który znał Rzym cały. Była to nasza kucharka Barbara, która nam dawała jeść codziennie gołębie białe i różowe jak pannie, *bianchi e rossi com' il signor*, mówiła patrząc z zachwyceniem na jasne włosy, białą twarz i świeże rumieńce inego towarzysza. Lubiła bardzo artystów, zajmujących często pokoiki nasze.

— Barbaro—zapytałem—znacie wy tutaj modelkę, kobietę bardzo piękną a zarazem bardzo cnotliwą, w której się zakochał młody malarz, Niemiec?

— Najprzód cnoty nie szukać w Rzymie, a przynajmniej nie u kobiety, która pozuje w pracowni artysty. Lubo znam dobrze tę o której panowie mówicie, i to pewna, że trzyma wszystkich zdaleka od siebie. Przeszłego roku, w tym samym tu pokoju mieszkał malarz Francuz, bardzo ładny, wesoły i dowcipny chłopiec. No i cóż? wesołość stracił, i swój dowcip i swoją młodość: oswiał, zgapiak i zniszczył się. Przyjaciołom dowodził, że go trawi febra, ale mnie się przyznał, że nie umiał przypodobać się Marinie. Znenawidził Rzym i powrócił do Paryża, chcąc zapomnieć o swéj miłości i boleści. Szczegóły te pobudziły naszą ciekawość niemało.

Pewnego wieczora, gdy według zwyczaju siedzieliśmy w *Café-Greco*, chcieliśmy doprowadzić Waltera do wydania się z sekretu a to zapytaniem, czy sądzi że artysta zakochany w swym modelu, może zeń stworzyć dobry obraz. Nie wahał się odpowiedzieć twierdząco, i przytaczając z zapalem nazwiska sławnych malarzy na poparcie swego zdania, jako: Rubensa biorącego za model żonę swą Helenę Fourment, Palmę córkę swą Violantę, Rafaela kochankę swą Fornarinę, a wszyscy przecie potworzyli arcydzieła. Mój towarzysz sprzeciwił się mówiąc:

— To wszystko co się kocha, widzi się nie takiem, jak jest w rzeczywistości, ale takiem jak się je marzy. Nie można więc odtworzyć natury, gdy zaślona entuzjazmu zakrywa kontury, porządkujące się zawsze według praw, których się nie da bezkarnio pominąć. Jeżeli chcesz poprawić, upięknąć, przeistoczyć rzeczywistość, zaraz wpadniesz w uślisność, w afektację i w fałsz. A wreszcie wzruszenie zaciemnia wzrok, i zatrzęsie pędzlem.

„Przepadł biedaczysko, rzekł raz Talma na zdolnego aktora, ale za nadto przejętego duchem swéj roli, przepadł stanowczo, bo wie co mówi. Z malarzem tak samo: jeżeli kocha to co chce

malować, nie stworzy nic dobrego. Może dokonać arcydzieła malując rysy téj, którą kochał, ale nigdy téj, którą kocha.

— To co pan mówisz—odrzekł Walter—jest ważne lubo nie zupełnie trafne, gdyż przedewszystkiem, zanim chcesz naprawdę zostać wielkim artystą, zostań człowiekiem. Uderzyło twe serce dla wzniosłych uczuć; piękność, ta potęga tajemnicza opanowała twoją duszę: to pisz, mów lub maluj, a jeśli pędzel ci posłuszny, jeśli nauczyłeś się dobrze wyrażać myśl twoją, nie obawiaj się niczego, bądź pewny, że zostaniesz mówcą, malarzem czy poetą. Miłość jest sprężyną życia, jest źródłem tego, co jest istotnie wielkiem i pięknem. Kochaj co chcesz, ideę abstrakcyjną, obowiązek, sprawiedliwość, zwierzę, kobietę, lecz bądź wzruszony, a pod twój wzniesiesz natychmiast, a w dziele twojem odnajdzie się serce ludzkości. Wierzą mi, wielcy artyści onego czasu kochali te, których unieśmiertelnili rysy, więc też pamięć ich przetrwa choćby płótna starły się na proch. Wielcy ci mistrze, kochając się w swych modelach, nie kopiowali ślepo tego, co widziały oczy ich ciała, ale to co wielbiły i odgadywały oczy ich duszy. Zacierali niedokładności szpecące model, a nadawali mu kształt więcej niż ludzki, przekształcali go bowiem miłością. Zgadzam się na to, że omijali pobieżnie zewnętrżności które zowią rzeczywistością, że nie dbali o to co jest osobistością; lecz wszakże Bóg nie wlał w materię téj najwyższej piękności, którą ściga artysta z wzniesionem ramieniem, tego ideału który jest rzeczywistością wieczną i jedyną prawdziwą. Mówią, że Wenus i Milo była odtworzeniem jakiejś pięknej córki Archipelagu: nie nad to fałszywszego. Ażeby upieścić się przy podobnym bezsensie potrzeba być ślepym, lub chyba nie być nigdy w możności porównania, nieudatnych zboczeń ludzkiego ciała z harmonijami i nieporównanymi liniami posagu. A czyż Rafael widział gdziekolwiek oryginał swych madonn lub swój Galatei? Nie: nigdy, sam to mówi w liście, pisanym w chwili gdy malował Farnesinę, gdzie wyraża tak trafnie ideę którą dostrzega, a której ręką oddać nie jest w stanie. Artysta powinien w samym sobie a nie poza sobą znaleźć piękność prawdziwą, ów typ rzeczy tworzonych, lecz nigdy „bez wielkiej miłości nie zdoła się wnieść dość wysoko, ażeby schwycić promień doskonałości świecącej w głębiach jego ducha.”

— *Sesquipedalia verba!* piękne słowa, lecz niechaj żyje natura!—zawołał mój towarzysz. Cały twój ideał, będący marzeniem wyexaltowanej wyobraźni, nie wart miotły malowanej przez Gerard Dowa, albo wieprzka tarzającego się w błocie pędzla Rembrandta.

W taki to sposób ciągnął się późno w noc, wśród kłębow dymu, ten wieczny dyalog zaczęty niegdyś w ogrodach Akademusa, między Platonem, boskim kochankiem rzeczywistości niewidzialnych, a Arystotelesem, przenikliwym dostrzegaczem rzeczywistości ziemskich: ale zapał z jakim mówił nasz artysta, zdradzał jego tajemnicę. Lecz nam to nie wystarczało, chcieliśmy poznać tę, która natchnęła naszego malarza tak potężną miłością.

Nasz przyjaciel malował wówczas obraz, którego myśl wziął z Getego z *Narzeczonej z Koryntu*, więc przypuszczaliśmy że się obejść nie może bez modelu. Miał pracownię swoją za Santa Marya de'Capuccini, w pustej uliczce, z kądem się widok rozciągał na pyszne cyprysy willi Ludovisi. Chcieliśmy go napaść pewnego poranku w godzinie, w której najwięcej pracował, choćby nam przyszło urazić delikatność jego uczucia. Zdawał się niemile tknitym naszymi odwiedzinami. Zaczerwieniał się, zawahał, nie mogąc powstrzymać przykrego wrażenia; lecz wrodzona mu uprzejmość wzięła górę i uściśnął nam rękę serdecznie. Byliśmy niemniej od niego zakłopotani, nieśmieliśmy spojrzeć na modelkę z obawy, ażeby nie zdradzić naszej niepomiernej ciekawości. „Byliśmy u kapucynów—rzekłem, ażeby się przyjrzeć sławnemu *Świętemu Michałowi*, więc nie chcieliśmy przejść koło waszej pracowni bez odwiedzin.”

Odgadł on doskonale powód, jaki nas sprowadził, ale tając zakłopotanie, zaczął nam rozprawiać o obrazie już prawie ukończonym, a stojącym na sztalugach. Powiem w kilku słowach, jak artysta pojął swój przedmiot, ponieważ silnego wrażenia jakie wówczas wywarło na mnie to płótno, nie mogę oddzielić w mym umyśle od wrażenia jeszcze silniejszego, wywarłego na mnie przez kobietę, będącą natchnieniem tego dzieła. Znany jest przedmiot *Narzeczonej z Koryntu* Getego. Rzecz się dzieje w chwili, gdy się Chryścjanizm przedziera do Grecji. Młody człowiek wyjeżdża z Aten, ażeby odwiedzić narzeczoną swą w Koryncie. Jakkolwiek rodzina narzeczonej została chrześcijańską, a młodzieniec był jeszcze poganinem, jednakże gdy przybył w nocy, przyjęła go bardzo uprzejmie. Wkrótce znużony drogą, zasypia, lecz nagle otwierają się drzwi, i ukazuje się dziwne zjawisko: piękna dziewczyna biała, osłonięta w długi biały welon. Dowiaduje się od niej że jest jego narzeczoną, lecz że nie może należeć do niego, gdyż matka uczyniwszy ślub, poświęciła ją Bogu chrześcijańskiemu. Rozogniony miłością, oburza się na takie postanowienie okrutne. „Bądź moją, rzecze, zezwolenie twych rodziców, uświęciło już dawno nasz związek. Bachus i Ceres, przewodniczyć będą naszej uczcie, a ty drogie dziecię, prowadzisz Miłość za sobą.” „Niestety, odpowiada, nie dotykaj mnie. Jestem biała jak śnieg, ale i jak śnieg zimna.” Chce ją rozgrzać w swych ramionach, ale krew nie krąży już w łonie bladej narzeczonej. Gdy nagle weszła matka do pokoju młodego Ateńczyka, zawołała: „Dlaczegoż zazdrościsz mnie, zeszlęj tak młodo w grób, téj nocy szczęścia? Byłam narzeczoną tego młodziana, wtedy gdy jeszcze świątynia Wenery błyszczała pełną świetnością, i gdy śpiew waszych kapłanów nie zdołał zagasić ognia, płonącego w mém sercu. Teraz, gdy ręka ma dotknęła ręki tego piękne-młodzieńca, musi umrzeć, bom wysłała krew z żył jego. Przyjajmniej połączą nas na jednym stosie ofiarnym, i wtedy gdy płomień ogarnie nasze kości, pójdziemy złączyć się z świetnym orszakiem naszych dawnych bogów.”

Utwór ten, w którym fantazyja z rzeczywistością zmieszane są z taką podziwienią godną sztuką, zastanowił silnie Waltera. Dowiedzieliśmy się później, że odkrył on pewne podobieństwo uczuć między swym modelem a ideą, którą Gete, ten wielki poganin, chciał wyrazić w tym poemacie, pełnym żalów za starożytną Grecyą.

Malarz wybrał chwilę, w której młodzieńiec podaje swój narzeczonj puhar wina, pochwycony chciwie przez nią. Przeciwstawieniem efektów światła, wywołał artysta porywający efekt. Podczas gdy na dziewczę, całą białą w swj pogrzebno-dziewiczej szacie, padało niebieskie światło nocy letniej, przekradające się przez otwarte okienko; piękny atenczyk oświecony był ciepłymi promieniami, wysnuwającymi się z lampy ustawionj na stole. Dziewica, piękności przezroczystej, formy lekkiej i eterycznej, na pół zgubiona w srebrzystych promieniach księżyca, wydawała się uroczym zjawiskiem, stworzonem przez wyobraźnię mistyczną średnich wieków. On przeciwnie, podobien Apollinowi Pithyjskiemu, przedstawiał obraz starożytnego życia, w całej pogodzie siły i szlachetnej harmonii.

Zapewne, że wykonanie tego obrazu nie było doskonałem, ale przedmiot był tak dobrze zrozumianym, a pomysł tak dobrze oddanym, że mu wyraził szczere moje uwielbienie. Skorzystałem ze sposobności, ażeby nareszcie spojrzeć na modelkę. Młoda rzymianka nie czuła się bynajmniej zakłopotaną naszą obecnością. Stała przed nami, nieporuszona, otulona w białą swą fałdzistą szatę, z głową okoloną paskiem czarnym i złotym, na znak żałoby. Była to ostatnia narzeczona z Koryntu, taka jak ją wiersze Getego kazały się domyślać.

„Zdaje mi się, że pan już dziś pracować nie będziesz — rzekła do Waltera. Już późno, przyjdę jutro.”

I podnosząc kotarę oddzielającą pracownię od sąsiedniego pokoju, zniknęła.

Odrzućmy pojęcie czar niezmierny, jakim działała na naszego przyjaciela. Była istotnie piękną, mimo że nie miała cery matowej ale ciepłej, właściwej karnacy południowej. Przeciwnie była nadzwyczaj białą, a raczej bladą. Być może że właśnie ta okoliczność, spodobała się artyście. Wreszcie, nie tyle mnie uderzyła pięknoscą rysów twarzy, ile harmonią ruchów, chodu i całej osoby. Nie ukazała się nam ani wyzywającym złotnym wdziękiem, ani niegrabną bojaźliwością; odeszła spokojnie, ze swobodną pewnością. Zdawało się, że płynie jak łabędź po wodzie. Przypominała słowa Wirgilego: *incessu patuit Dea*.

Widziałem ją jeszcze potem kilka razy, a zawsze zadziwiły mnie prostota i wdzięk jej ruchów. Czy to wystudyowanie które doprowadziła do naturalności, czy codzienny widok arcydzieł sztuki greckiej, którym się lubiła przypatrywać, tak wpłynęły na nią bezwiednie, dość że za każdym poruszeniem odsłaniała majestatyczne linie rzeźb starożytnych.

Gdyśmy chcieli odejść, Walter nam towarzyszył.

— Zgadłem odrazu—rzekł—cel waszych odwiedzin, chcieliście ją zobaczyć. Mówiono wam pewnie o méj szalonej miłości... mówiono wam, że waryat... Nie zaprzeczajcie. Przyjaciele moi powtarzają mi to często, bo artyści prawdę sobie mówią, a moja tajemnica nie jest już nią dla nikogo. A przecież mi bolesno, gdy mam mówić o tém. Kochać miłością wielką i zazdrosną, tak, pojmujecie, zazdrosną, modelkę, którąby lubić można z kaprysu, jest, wiem o tém, śmiesznością. Sam sobie to mówię, a jednak nadarmo. Jakiś niewytłumaczony pociąg, pokonywa moją wolę. Wreszcie dziwna to osobistość ta modelka, wynajmująca się malarzowi za kilka talarów. Gdyby umiała rysować, byłaby wielkim malarzem a raczej wielkim rzeźbiarzem, bo miłsze jęj posągi od obrazów. Ma gust wykwinny i wytrawny. W dwóch słowach ocenia wartość dzieła sztuki. Nie masz lepszego od niej krytyka. Lubi téż, gdy mówią o wielkich czynach dawnych Rzymian i o chwale starożytnego Rzymu, jakby się poczuwała córką Scypionów. Uważam ją za cnotliwą. Uchodzi to za szczyt śmieszności u moich kolegów.

Miłość jęj nie jest powszednią...

— Tak—rzekłem—słyszałem o tym francuzie...

— A niedawno bardzo bogaty amerykańnik ofiarował jęj nadzwyczaj kosztowne dary: odmówiła wręcz. Przysłał jęj brylanty: odesłała mu je z pogardą."

Walter wyczytał jakieś niedowierzanie na naszych twarzach.

— Nie chcecie uwierzyć, iżby biędna modelka oparła się pokusom wszelkiego rodzaju, na które naraża ją jęj piękność, jęj nędzny stan zarobkowania, jęj ubóstwo, a ja tłumaczę to sobie. Widzicie, nikt jeszcze nie przemówił do niej szlachetnie, ofiarowano jęj złoto, brylanty, łechtano jęj próżność, jęj zmysły, któreby chciano odurzyć. Nikt nie zbliżył się do niej, jak do kobiety uczciwej. W hotelach, które mi ją chciano oszołomić, nie trudno jęj było odgadnąć lekceważenie. Cóż więc dziwnego, że odepchnęła zniewagę, okrytą pięknem słówkiem? „Ofiarują mi brylanty, rzekła raz do mnie, lecz pączek róży zaszczyknięty w moich włosach, stokroć błyszczący piękniej niż te drogie świecidla, a przecież na różyczkę tę wykosztowało się słońce jednym tylko promykiem, a ja potrzebowałam ją tylko zerwać. Żadne skarby świata nie dadzą nic jęj wdziękowi. Przyczepcie posągowi pierścien złoty do nosa lub do uszu, czy go przezto uczynicie piękniejszym?" To co mówiła do mnie, zgadzało się z jęj myślą, bo życie zgadzało się z jęj słowy.

— A przecież—rzekłem—wspomnij pan sobie skrzyneczkę *Gretchen*. Prawda, że nieświadomość wstydliva była tam niebezpieczeństwem, którego tu niema. Być wreszcie może, że dusza z natury dumna i podniesiona uczuciem piękna, wyższą jest ponad pewne pokusy. Pańska rzymianka widząc rzeczy i ludzi zbliśka, będąc przytem bez złudzeń, wolną być winna od wielu słabostek. W każdym razie trudno mi zrozumieć, jak ta kobieta pochodząca z ludu, wychowana przez ubogą rodzinę i żyjąc zapewne z gminnymi ludźmi, mogła się przejąć tak szlachetnymi poczuciami."

— Sądziś więc pan, że ja, jak każdy zakochany prawdziwie, stworzyłem sobie ideał ażeby go lepiej uwielbiać, i że ja uposażyłem w przymioty, które tylko istnieją w mojej podbudzonej wyobraźni? Niech i tak będzie, może sam przekonasz się inaczej. Zważ jednak, że coby było nadzwyczajném w innym kraju, nie jest niém we Włoszech. Ludzie Północy mają może więcej siły, a w każdym razie więcej ciągłości myślenia; lecz ażeby rozwinąć te zdolności, potrzeba na to ustawicznego ćwiczenia. Ludy Południa przeciwnie mają umysł otwarty, ułatwiający im wszystko, zmysły ich żywsze wrażają się na duszy szybciej i wyraźniej pojmują, zgadują i wnioskują natychmiastowo. Czy rzeczywiście zdaje się panu, że nic nie znaczy dla mieszkańców tych okolic, nazywać się dziedzicami tyłu cywilizacyji! Tutaj naprzykład, wspomnienia wielkich artystów odrodzenia i starożytnego Rzymu, nieobce są pierwszemu lepszemu z gminu. Stąpają oni między pomnikami panów świata, ich przodków, jak się wyrażają, i żyją w ciągłym obcowaniu z cieniami bohaterów. Proszę się przypatrzeć Kolizeum, które przebiegamy w tej chwili. Miałożby to być napróżno, że lud jaki może sobie powiedzieć: „oto cośmy zdziałali, gdy świat cały leżał u nóg naszych!”

Pomów pan z łada żebrakiem, zanurzonym w kurzu i robactwie, a będzie on panu mówił o swoich przodkach, o Scypionach, Tytusach, Brutusach, bez odróżnienia czasu i ludzi, ale z tém głębiem przeświadczeniem, że po za nim stoi coś wielkiego, co nakazuje jeszcze cześć dzisiejszemu pokoleniu. Zapytaj pan ostatniego *facchini* kto on jest, a z jakąż pychą odpowie: *Io son romano*.

Kontrast pomiędzy dzisiejszym stanem a pretensjami nowoczesnego Rzymianina, wyda się panu zrazu bardzo śmieszny, lecz czyż to nie jest dziełem owego podmuchu wielkości, któremu ulegają nawet dusze spodłone? Przyznaję, że Marina ze swemi artystycznymi instynktami i swą pychą Rzymianki, nie może istnieć, chyba w podbudzonej wyobraźni dwudziestoletniego kochanka, lecz tu zachodzi pewna różnica, przekonasz się pan, czy się myślę.

Cóż było odpowiedzieć, jeżeli nie to, że nie życzymy sobie czego innego, tylko przekonać się o sobie? Zrobiliśmy tylko uwagę, że cokolwiek to dziwnie wygląda, iż kobieta smaku tak delikatnego i uczuć tak wzniosłych, nie przestaje być modelem.

— Być może że to dziwne—odrzekł—ale cóż może robić dzisiaj, gdy już raz weszła na tę drogę? Praca nie utrzymałaby jęj, a wreszcie przyzwyczajenia delikatne, zbrzydzyłyby jęj zatrudnienia ręczne, na któreby się skazać musiała. Żyjąc życiem artysty, pięknieby wyglądała ta narzeczona z Koryntu, jako cerująca koszule, lub sprzedająca lichtarze!”

W owęj epoce, był w modzie typ kobiety upadłej a odrodzonej miłością. Gete, Victor Hugo w *Marion Delorme* odmłodzili ten przedmiot użyty już przez La Fontaina, a dość sobie przypomnieć, z jakim zapałem przyjmowała go publiczność.

Walter mógł znaleźć nie jeden powód, ażeby się upoić tą ułudną i niebezpieczną ideą. Powstawał gwałtownie, przeciw okrutnym przesądom społeczeńskim.

— Jakto! — zawołał — uginamy z uszanowaniem czoła przed dziełami sztuki, budujemy im pałace gdzie tłumy cisną się aby podziwiać te objawienia boskości, a odpychamy model, bez którego nie byłoby arcydzieła! W taki to sam sposób wielbiny dramat, tragedya, a pogardzamy aktorem, który je ujawnia tłumom. I to się zwie sprawiedliwością świata!

Nie odpowiedzieliśmy nic na te deklamacye zranionego w przedmiocie swój miłości serca. Bo i jak tu odpowiedzieć, żeby mu nie rzec że są pewne położenia dwóznaczne muszące zepsuć, i że w naturalném tego następstwie przesąd, który na nie napada, nie jest bez podstawy? Nasze uwagi byłyby czémś więcej jak potępieniem jego teoryi ogólnych, dotknęłyby go w najdrażliwszą stronę. Więc nic nie mówiliśmy o naszej niewiarze.

Od czasu gdy Walter chcąc niechcąc, wypowiadał się nam ze swój szalonej miłości, stała się ona niewyczerpaném źródłem naszych rozmów. Zaprosił nas nawet do swój pracowni, przezco mieliśmy sposobność zapoznać się bliżej z jego ukochaną. Mogliśmy téż dostrzedz, że jakkolwiek dał nam jój portret bardzo pochlebny, że jednak była to kobieta wcale niezwykajna. Oto co uderzało w nią na wstępie: umysł bystry, charakter silny, wiele szczerości, a zarazem wiele dumy wstydliwój i trzymającej się na uboczu, wdzięk dziewiczy połączony z siłą prawie mężką, czasami wesołość lecz umiarkowana, zakroju poważnej melancholii, a nadto głębokość poglądów i często tak niezwykły język, jak go niepodobna znaleźć w kobiecie z ludu.

Nabrała ona w pogawędkach z artystami ukształcenia powierzchownego wprawdzie, ale które było dostateczném dla rozwinięcia w niej smaku bardzo wykwintnego, i jój prawie wrodzonego. Chępiła się z drwiącą pychą z tego, że ją miano za zimną, co ją podnieść powinno było, jak sądziła nad wiele innych.

— Mówią, żeś biała jak śnieg — rzekła ze śmiechem — Być może, lecz to pewna, żeś zimniejsza od śniegu.

— Tak, ale zdala od słońca, zdala od miłości.

— Oh! słońce to jeszcze nie weszło dla mnie, jeszcze ono daleko.

— Tem lepiej, bo proszę pamiętać, że pod jego promieniem śnieg to pnieje, i cóż wtedy zostanie?

Wzruszyła ramionami. Walter dobrze rozumiał, że chcemy zażegnać niebezpieczeństwo, które zagraża jego spokojowi, godności i przyszłości, ale wcale nie był rad z naszych uwag. Pewnego ino razu rzekła nam, że jój jeden z rzeźbiarzy chcąc dowieść potęgi miłości, opowiedział historya Pigmaliona. „Co się mnie tyczy — dodała — jestem pewną, że gdybym była posągiem, zostałabym nim i nadal.”

Niestety biedna! czemuż się tak nie stało jak przyrzekała, czemuż zstąpiła ze swego piedestału!

Nie mówiła ona tego przez zalotność, owszem, czuła się niezwykcioną. Zdawało się jój, że zna wszystkie pokusy, wszystkie niebezpieczeństwa, więc czuła w sobie siłę ażeby się im oprzeć.

A jednak słowa jój które martwiły naszego przyjaciela, nie dawały nam zaspokojenia.

Pierwszych dni października, powrócili artyści do Rzymu, jeden po drugim. Poznałem tych do których miałem polecenie. Zrobiliśmy wycieczkę do Tivoli, do której należała Marina. Cały dzień zwiedzaliśmy okolice miasteczka. Mimo złowieszczego przysłowia włoskiego:

W nieszczęsném Tivoli wiatr wieje, *A Tivoli di mal conforto*
Deszcz pada, lub po umarłym dzwonią. *Tira il vento, piove o suon' amorto.*

pogoda była prześliczna, z której téż skorzystano ażeby zrobić klasyczną wycieczkę do willi Adriana, w groty jój i kaskady. Wieczorem ustawiono stół na tarasie *Hotelu Sybilli*, blisko ruin świątyni Vesty, które to miejsce niezmiernie upiększają. Tu przypominają się wszystkie wspomnienia starożytności, tak jakby się było przeniesionym w czasy, w których Horac i Mecenas zwiedzali z rozkoszą te miejsca. Pamiętając uczty opiewane przez poetę rzymskiego, przyjaciele nasi splatali umyślnie wieńce kwiatów zerwanych w górach, i wieńczyli niemi czoła i szklanki. Lidy i Chloy naszych młodych artystów śmiały się do rozpuku z tych ozdób, nieszpęających bynajmniej ich czarnych włosów, ale brzydko odstających od kostiumów męzkich. Jedną tylko Marina, która zrazu wesoło biegała, stała się nagle zamyśloną i smutną, w miarę jak noc zapadała. Nareszcie wstała od stołu. Poszedłem za nią i zastałem ją opartą o balustradę terasy, wzniesioną ponad tajemniczymi grotami, z pod stóp których wytryskuje jeden strumień rzeki. Zbliżając się, zachwycony byłem niezrównanym wdziękiem jój pozy. Owinęła się cała długim swym białym szalem, ażeby się ochronić od wilgoci zdmuchiwanéj wietrzykiem z promieni kaskady; głowę mając opartą na rękę, przypomniła mi posąg Polymnii, który niedawno wzbudził mój podziw w galerji Luwru. Jój pełna powagi piękność, i skromna harmonia spadających fałdów jój szaty, nakazywały mimowolnie uszanowanie. Podobną téż była do Sybilli Tyburtyńskiej. wyszłej ze swéj świątyni, w której ukryta cieniu radzi się gwiazdzystego nieba. Stałem przed nieporuszoną, nieporuszony. Głęboka zaduma otoczyła jój czoło. W téj chwili, księżyc wychylając się z za wzgórz Teveronu, oświecił twarz jój w pełni, i ujrzałem łzę spływającą z jój oczu.

— Płaczesz pani! — dlaczego?

— Przypatrz się pan nocy, jaka piękna! Ale dla mnie niema szczęścia, nigdy nie będę kochaną, bo dla mnie nikt nigdy nie będzie miał szacunku. Czemuż nie mogę tu żyć i umrzeć sama, zapomniana od wszystkich!

I wskazała ręką na przepyszne widowisko, odsłaniające się przed nami. Ponury, lejkowaty skręt Teveronu zdawał się roztwierać pod naszymi stopami niezgłębione przepaście, z których wydobywały się wilgotne dymy, niby obłoczki, przetykane

niebieskawą jasnością nocy. Z drugiej strony strumienia, nawprost nas, na wzgórzu, na którym niegdyś wznosił się domek Horacego, poruszały drzewka oliwne bladą swą i lekkim liściem, a znowu daleki odgłos kaskad wznosząc się i spadając kolejno, przygrywał łagodnie piorunemu trzaskowi największej kaskady.

Kolumny marmurowe małej świątyni, kontury gór, łagodne światło oświecające krajobraz, delikatny zapach jesiennych kwiatów, cichy szelest liści a głuchy szmer wody, wszystko, co jest dziełem człowieka i pogodnej natury, znalazło się w doskonałej harmonii, w wyborniej zgodzie.

— Tak—zawołałem—noc jest cudowna. W obec takiego widoku, poeta który niegdyś zamieszkiwał to piękne ustronie, zawołałby: „Używajcie życia, póki jest w pełni.” Dzisiaj widok wielkości natury i poczucie czasu, który ucieka i nas ze sobą unosi, napawa nas wznioślejszymi i bardziej melancholijnymi ideami!

— Prawda—odrzekła z emfazą, tą właściwością tradycyjną rasy rzymskiej—a jednak dlaczego? Czyż mądrość ówczesna nie warta była dzisiejszej? Zamiast jęczeć skargą ku tym nieczułym gwiazdom, które się niezmiennie obracają dalej, niezważając na mnie, nie lepiej byłoby uczyniła, łącząc głos mój z głosem przyjaciół? Lecz nie mogę, wesołość ich boli mnie, i gdybym miała z nimi śpiewać, wybuchłabym łkaniem.

— Lecz czy niema takiej osoby, której chciałabys podać rękę?

— Nie. Znam ich wszystkich dobrze, wiem, ileby im zaciążyło przeznaczenie takiej kobiety jak ja.

— Widziałam, jak ci weseli amatorzy piękności i zabawy, przysięgali swym przyjaciółkom miłość a zapominali po roku nawet imię tych, które powinni byli kochać zawsze. Widziałam, jak zmieniali miłość, niby gatunek wina. Wiem, na jakie taki związek naraża upokorzenia i gorycze. Czyż jest choć jeden pomiędzy nimi, któryby mi ufał? Walter kocha mnie prawdziwiej, a cóżbym mu przyniosła? Moją nędzę. A on? swoją dobroć, słabość i swoją obrażającą zazdrość. Zazdrość przeszłości, terażniejszości i przyszłości! Bez wzajemnego zaufania, niema przywiązania długotrwałego, a jakąż może mieć ufność w modelce? Niema na to lekarstwa. Iść samą dalej, to przynajmniej droga mniejszego cierpienia.

— Gdybyś pani kiedy pozowała jako Ofelia, chciałbym ci powiedzieć jak Hamlet: „Do klasztoru, do klasztoru” bo teraz duma, szacunek samą siebie, dają ci siłę do zniesienia braku szacunku u innych, lecz obawiam się, że nie wytrwasz, a gdy upadniesz, będziesz pani wielce pożałowania godną.

— Posyłasz pan narzeczoną z Koryntu do klasztoru? Przypomnij sobie legendę: umarłabym tam rychło. Więc kocham wolność moją; chcę żyć i nauczyć się umrzeć:—kocham mój kraj, a miałabym tylko kochać klasztor?! Nie, nigdy!

Więc niech się spełni przeznaczenie!

Jak na studenta, zdaje mi się że i tak dosyć dowiodłem rozsądku, lecz wpływ téj pięknej nocy i téj dziwnej kobiety, nastroił mnie poważnie.

Powrót był wesoły i hałaśliwy. Wózki staczały się w galopie po boku Tivoli. Powietrze czyste, szybkość jazdy jeszcze nas bardziej ożywiły, ale gdyśmy dojechali do stóp góry i konie zwolniły w biegu, zmniejszyła się nasza wesołość. Jakto zwykle bywa, pewien odcień melancholii idzie w ślad za przesadną wesołością. Dla rozproszenia niemiłego wrażenia, uproszono Marinę żeby zaśpiewała. Głos jój był pełny i męzki, tak jak wielu włoszek. Zaśpiewała nam smutną piosnkę, której dwa wiersze wspomnę; były takie:

Kocham cię tak mocno,

T'amo d'intanto

Kocham cię ze łzami.

T'amo col pianto.

Śpiew ten nie mógł rozetlić naszego humoru. (Idy skończyła, chciano nadarmo zawiązać rozmowę; urywała się. Było też nam lepiej z tém milczeniem. Anioł śmierci przeleciał, jak mówią w Polsce. Uroczysty widok rzymskiego krajobrazu, ciążył na nas. Wszystko przyczyniało się do pobudzenia w nas obrazów śmierci i nicości: majestatyczne pustkowia, gubiące się w jasności księżyca, nagość przestrzeni bez drzew, bez chaty, bez czegobądź coby znamionowało życie, i przecięto monotonne linie; zamiast zapachu kwiatów, ostra woń sulfataru, którego siarka zdawała się pochodzić z Erebu, nareszcie cisza grobowa, którą tylko przerywał głuchy ryk bawołu, pasącego się zdala w bagnisku. Wiatr nocny, sprószając popioły tylu grobów, zagasił naszą wesołość, tak jak gdyby powiew zimny, wydarty z grobu zagasił lampę.

Szczegóły te, tem bardziej mnie uderzyły, że Marina blada, w białej swój szacie, i w tém straszliwem pustkowiu, wydała mi się widmem pogańskiego Rzymu, przelatującym swoje opuszczone państwo.

W miarę, jak poznawaliśmy lepiej tę dziwną kobietę, pojmovaliśmy także szal Waltera, i grożące mu niebezpieczeństwo. Nazajutrz wieczór, skorośmy się tylko spotkali, usiłowaliśmy zwalczyć miłość jego, mogącą być dla obojga nieszczęściem. Wiedzieliśmy, że analizuje on wszystkie swe uczucia, starając się je przyczepić do jakiejś idei ogólnej w ten sposób, iżby z tego wytworzyć teorię. Potrzeba więc było aż w zakątkach myśli, zwalczać tę namiętność. Pytaliśmy go, jakim sposobem zafascynowała nim tak gwałtownie.

— Jakże wam to wytłumaczyć? Miłość się czuje ale nie opowiada. Marina jest piękna: oto wszystko, co wam mogę powiedzieć.

— Lecz cóż kochasz w niej? Czy jedynie harmonią linii? w takim razie uwielbiaj posąg grecki, forma jego doskonalsza. Przypuść, że zaległa czarna noc lub żeś ociemniał, cóż zostanie z tych linii które cię czarują? Nic. Ten który chce objąć piękność, po-

dobien jest dziecku chcącemu pochwycić księżyc. W tém szukać źródła nienasyconego szafu tych, którym się zdawało że namiętnością zaspokoją pragnienie piękna, rozpromieniające ich serce. Jeżeli zaś w téj modelce kochasz tylko formę zewnętrzną, ciało, czegoż chcesz więcej, skoro możesz codziennie podziwiać jęj rysy, i odtwarzać je pędzlem? Nigdy, choćbyś niewiedzieć co uczynił, nie użyjesz piękna, jak tylko widokiem, który przeniesie obraz do twęj duszy.

— To co pan mówisz jest prawdą—odrzekł Walter—a jednak zkądże to pochodzi, że iskra spojrzenia zapala naszą krew, i że pewne rysy twarzy, sprawiają bicie serca? zkąd pochodzi że dość najmniejszego błędu fizycznego, ażeby przeszkodzić wybuchowi miłości? Czyż Indyanin stepów wie co to jest piękność twarzy, i czy jęj wymaga od swęj dzikięj towarzyszki? Z pewnością że nie, i dlatego jest człowiekiem natury. Lecz my inni, mamy jeden zmysł więcej, więc my, malarze czy rzeźbiarze pracujemy nad tém, ażeby ten zmysł wzbudzić lub go wyszlachetnić. Prawda że to jest dobre w sztukach, i że nie powinniśmy się tém rządzić przy wyborze raniu téj, która zaważyć powinna jedynie przymiotami serca lub umysłu; wiem to dobrze, ale niestety wszystkie te piękne teorye i inne jeszcze których wam oszczędzę, rozproszyło jedno jęj spojrzenie; musiałem przeto uznać tajemniczą potęgę jaką wywiera piękność na człowieka, a to choćby dlatego, iż czułem że ustępuję przed tą potęgą.

Walter więc widział lepiej od nas, a przecież nie chciał się uleczyć.

W kilka dni później widziałem Marinę, i to już po raz ostatni, a to przy takięj sposobności.

Pewnego popołudnia, poszliśmy raz jeszcze zwiedzić muzeum watykańskie. Przeszliśmy pierwszą galeryą, służącą za przedsionek do dalszych, gdzie umieszczone są szczątki grobów chrześciańskich i pogańskich z licznemi napisami, gdy w głębszięj framudze jednego z okien spostrzegliśmy Marinę, mocno zajętą odczytaniem kilku wierszy, napisanych ołówkiem na murze.

— Przeczytacie mi te wiersze?—zagađnęła. Jest tu łacina, któręj nie rozumiem, i pewne włoskie wyrazy, których dobrze pojąć nie mogę.

Przeczytaliśmy z natężeniem ośm wierszy poprzedzonych epigrafem Horacego. Takie one:

Debemur morti nos nostraque.

Il passati non è, ma se lo pinge

La pura rimembranza.

Il futuro non è, ma se lo finge

La credula speranza.

Il presente solo è, ma fuge sempre

Nullo nel senno.

Così la vita è memoria, speranza

E un punto.

(Przeszłości niema, ale pamięć kreśli sobie jęj niedokładny obraz. Przyszłości niema, ale łatwowierna nadzieja wyobraża ją sobie. Teraźniejszość tylko istnieje, ale ucieka zawsze, niepochwyciona umysłem. Tak więc pomiędzy wspomnieniem a nadzieją, życie jest zaledwie punkcikiem).

Te ośm wierszy nie były czemś nadzwyczajném, powtarzały bowiem tylko à propos nicości życia, myśl tysiąc już razy równie wyrażoną; ale tu na murach Watykanu, w pośród szczątków wszystkich grobów począwszy od nieznanych czasów Etruryi aż do Katakumb, pośród relikwii tylu wieków i napisów poświęconych śmierci tylu istot żalowanych długo, a potem zagastych w wieczności, wiersze te chociaż mierne, przeniknęły nas swą jednością. Nikt nie uniknie wpływu miejsca, bo często kilka słów odcyfrowanych na ruinach Kapitolu lub na kamieniach piramid, oddziałają więcej na wyobraźnię, aniżeli znakomita strofa odczytana w drukowanym piosenniku poety.

— Ten co napisał te wiersze—rzekła Marina—miał słuszność. Jestem prostaczką, a jednak często tę samą myśl miałam. Cóż to znaczy żyć? To znaczy: przejść. A przecież i to krótkie przejście, ten „punkcik” jakże często jest bolesnym, jak często jest cierpieniem, konaniem! Lecz chodźmy dalej—pokażę wam posągi które lubię.”

Zatrzymywała nas kolejno przed ulubionemi marmurami, a my musieliśmy tylko czoła uchylić przed pewnością jęj smaku. Gdyśmy wyszli z Watykanu, zaproponowała nam wejście na jedną z najpiękniejszych ulic Rzymu, której nie widzieliśmy jeszcze. Poprowadziła nas przez ulice puste i ubogie, otwierające się zaraz za kolumnadą św. Piotra. Przeszliśmy wąziutką uliczkę, która się kończyła w rumowisku i krzakach, tuż blisko klasztoru San Onofrio, gdzie umarł Tasso. Stanęliśmy na Janiculum, jednym z siedmiu wzgórz, a Rzym rozciągał się u stóp naszych po obu brzegach Tybru, tocząc swe wody zawsze jasne popod mostami cesarzów i papieży. Widok był rzeczywiście wspaniały. Po prawej, słońce chylące się już ku sąsiednim wodom Śródziemnego morza, oświecało złożonemi swemi promieniami domy, pomniki i góry. W tém ciepłym świetle, ukazywały się górując ponad pospolitością mieszkań nowożytnych, potężne resztki starożytnych budowli, jako: Pantheon podobny do tarczy olbrzymiego żołnierza, sklepienia rozwarłe wielkiej bazyliki, któreby zdala wziąć można za olbrzymie podziemia—wielkie ściany muru z Kolosseum wyrwane, niby potrząskane wzburzeniem geologiczném skały, i kolumny świątyni Jowisza Satora w ich dumnym odosobnieniu, dalej więcej na wprost nas, ogrody Pincio i eleganckie linie willi Medycejskiej, okolonęj bukietem zielonych dębów. Z jednej strony Soraet, a z drugiej szczyty zbliżone: Tusculum i Rocca di Papa rysowały się fioletowo na niebie coraz bledszém, w miarę jak niebo skłaniało się ku widnokręgowi, tak jak to bywa w obrazach *Francyi* i *Perugina*.

— Prawda że to piękne—rzekła Marina—ale widzieliście Neapol?

— Nie, lecz może będziemy tam niedługo.

— W Neapolu dopiero się żyje. Tam znikają pomniki człowieka, a ziemia i morze proszą was na ucztę, zwłaszcza morze. Dlatego też że tak kocham morze, i że tak często o nim mówię, nazwano mnie Marina.

— Więc wychowałaś się pani w Neapolu?

— Tak—odrzekła—dziecięce moje lata i moja młodość upływały mi nad Pauzylipem, w willi należącój do pana który był podobno moim ojcem, lecz który nie przyznawał się do mnie jak do córki. Po jego nagłej śmierci, krewni rozdrapali dobra, a ja pozostałam sama i pozbawiona wszystkiego. Jedna ze sług zlitowała się nad mym losem, i posłała mnie do swój siostry do Rzymu, która chciała mnie zatrudnić w swój szwalni, ale ja nie przydałam się na to, sprzykrzyłam się tym ludziom. Ponieważ namiętnie lubiłam obrazy i piękne posągi, więc chciałam przyczynić się do stworzenia dzieła sztuki.... na mój sposób—dodała z uśmiechem.

Po chwilce mówiła dalej językiem obrazowym, pełnym poezyi ludowej i emfatycznój razem, którój myśl mogę oddać tylko, ale nie oryginalną formę.

— Ojciec mój wcale się o mnie nie troszczył. Żyłam sama. Nauczono mnie bardzo mało. Od pierwszych lat lubiłam przypatrywać się lasom, góróm i morzom. Ci którzy żyli naokoło mnie patrzyli na drzewa pomarańczowe i figowe dlatego, bo byli ciekawi czy już są dobre do jedzenia, ja zaś bo lubiłam w pomarańczach jabłka złote z pięknym metalicznym liściem, a w figach owoc purpurowy, zaciemniony liściem zgrabnie wykrojonym. Najpiękniejsze moje dni i wspomnienia przenoszą mnie w dni, w których przypatrywałam się świetnym kolorom wody jeziora, blaskom słońca przy zachodzie, zapalającym ogniem swym wzgórze Wezuwiuszu i Sant-Angelo, całemu amfiteatralnemu Neapolowi i zielonym dębom Chiaï, rozkładającym się w sine cienie. Czułam się wtedy oczarowaną, tak jak przypatrując się kwiatom lub robaczkowi, czułam się radosną. Przypominam sobie także między innemi, cały poranek przepędzony nad brzegiem morza, pod wiecznie zielonymi dębami, które tworzyły gęsty las od willi aż do brzegów. Bawiłam się poruszając gołą nogą małe kamyczki w wodzie i różnokolorowe muszelki zapełniające dno, bawiłam się układając dziwną mozaikę, którą połykująca fala srebrzyła ruchliwym zawsze promieniem.

Z kasztanów dochodziło gruchanie dzikich gołębi. Było to w końcu kwietnia. Upały wielkie łagodziły świeżość cienia i morza, a mimoto znać było potęgę słońca ogrzewającego i oświecającego wszystko. Zdaje mi się że ten poranek był wczoraj, a przecież drugiego takiego już nie zobaczę!

We willi mego ojca znajdowała się galerya wychodząca na jezioro, a w każdój z marmurowych, podtrzymujących ją arkad,

stał posąg. Lubiłam jeden z tych posągów jak przyjaciółka: była to *Diana*, jak się później dowiedziałam. Godzinami przypatrywałam się jej formom tak szlachetnym, tak czystym, a zmieniającym ton i widok stosownie do godziny dnia i do wysokości słońca. Rano, była różową i świeżą jak kwiat wiosenny, w południe odrywała się potężna i rozblyszczona prostopadle do morza, na tle morzy niebieskiej, i widzę jeszcze ciepłą białość marmuru, jego cienie jasne i przezroczyste, i łagodne odbicie w głębokich fałdach draperyi. Później promienie złote schyłku dnia, zdawały się wlewać w nią życie. Lazur zachmurzonych fal, wypychał cudowną sylwetkę bogini, a ja uniesiona uwielbieniem krzyknęłam: „Jakżeś jest piękna!” Była ona dla mnie jakby siostrą starszą, do której chciałam być podobną, lecz gdy się zmierzchno, wszystko zniknęło w cieniach. Posąg mój stawał się białym jak śnieg z promieniami siwemi i bezbarwnemi, przybierał postać śmierci, a w nocy stawał się strasznym widmem. Życie odbiegło wraz ze światłem, wtedy strach mnie porywał i uciekałam.”

Marina wstrzymała opowiadanie, gdy znów zaczęła, błyszczący jej wzrok zdawał się palić sybillijskim ogniem. Zdawało się, że te wielkie postacie o których mówiła, zjawiały się przed nią, i że ten widok przeniknąwszy duszę jej uczuciem starożytnego piękna, wyszlachetnił jej imię i język.

— Od tego czasu lubiłam zawsze statuy, lecz nie poustawiane w porządku, w zimnych sklepieniach murów jak żołnierze podczas przeglądu, ale w ogrodach, pod cieniem platanów, u progów świątyń, szczególnie zaś blisko rzek a zawsze pod niebem. Ich białość dziewicza, przedstawia mi czystość bogiń, a ich szlachetna pogoda nasuwa na myśl, szczęśliwy byt istot duchowych. Kiedy patrzę na ich nieskażoną piękność, jaśniejącą pod tym samym słońcem, które je widziało wychodzące ze skały w *Paros* dwa tysiące lat temu, to dumam wtedy o wiecznej młodości olimpijskiej. Idea niespożytego życia owłada mną, i mówię sobie że i ja nie umrę. Malarstwo zachwyca na chwilę urokiem magicznym kolorytu, lecz marmur jedynie zdolny oddać ideę w jej dumnej nagości. Obraz przedstawia ludzi pewnej epoki lub kraju, ich kostiumy, mieszkania, charakterystyczne rysy, słowem wszelkie ich stosunki ze światem i przeszłością; posąg jest obrazem człowieka idealnego, którego nic nie wiąże do pewnej rasy lub epoki: jest to typ ludzkości oswobodzonej z przypadkowości, jestto czysta piękność, doskonałość nawet wcielona w kamień.... Lecz szaloną jestem nieprawda? rzekła nagle, przerywając.

Język włoski, naiwny, lubo mniej klasyczny od innych, dodawał słowu jej drgającemu entuzjazmem, siłę, której nie mogliśmy pojąć, ale która nas wzruszyła mimowoli.

Opuściła głowę. Nadszedł wieczór, i ujrzałam pierwszą gwiazdę odbłyskującą w jej wilgotnych oczach. Tak jak w *Tiwoli* z kontemplacji piękna które ją unosiło ponad jej przeznaczenie, spadała w przypomnienie rzeczywistego bolesnego stanu.

— Bywajcie mi zdrowi, chcę odejść sama.

Zbiegła szybko ze wzgórza. Opuściłem Rzym nazajutrz. Myśląc nieraz o téj kobiecie, zdawało mi się zawsze że spotkał jakąś dziewczę Grecyi, zachwyconą w prostocie pięknem w naturze i w sztuce, a obdarzoną szczególném poczuciem formy, któreto poczucie miało najprostsze dziecię Attyki. Wtedy téż zrozumiałem, że taki smak oczyszczony, może być półcnotą.

O dalszych kolejach modelki dowiedziałem się z listów mego towarzysza, pozostałego w Rzymie.

Oto kilka wyjątków.

Olevano, d. 8 listopada 1845 r.

....Pisałem ci, że Walter stał się jeszcze dzikszym. Żył w odosobnieniu, unikając kolegów. Chciałem go wyszukać, aż dowiedziałem się że pojechał do Tiwoli z Mariną, podobno z nią zaślubiony. Przedał swój obraz „Narzeczoną z Koryntu,” z którym jak ci wiadomo, nie chciał się nigdy rozstać. Zapewne zmusił go do tego niedostatek, lub posiadanie oryginału. Pojechałem do Tivoli, ale nie zastałem go, wyjechał do Subiaco, zawsze z Mariną. Bardzo pięknego dnia, odbyłem tę wycieczkę piechotą. Droga jest dość opuszczoną, a rzadcy mieszkańcy okolicy, nader dziwnego są charakteru. Lecz nic wdzięczniejszego nad młode dziewczęta z Cervara, które zstępują ze swych gniazd orlich wykutych w szczytach skał, zaczerpać wody w wodotryskach, swemi naczyniami o etruskiej formie. Przodkowie ich schronili się podobno na te szczyty przed Saracenami, a mówią znów, że tu się osiedliło trochę Maurów. Być to może, sądząc z wschodniego typu dziewcząt. Ruchy ich przypominają kobiety Judei, czerpające wodę w cysternie Rebeki.

W Subiaco nie zastałem Waltera, pojechali do Olevano. Dalejże za nimi. Robię siedm mil poprzez Apeniny. Krajobraz cudowny kolorytem, prawdziwy obraz Poussina. Przechodzę przez górzystą wioskę, podobną do Cervara. Same domki w ruinach, oparte na skałach. Chciałem się pokrzepić, nie ma nic, ani chleba, bo jedzą tylko *polente*, ani wina, bo go nie uprawiają, ani wody bo nie jestto godzina w której idą po nią w dolinę. Na skałach ani drzewa, ani trawki, ani żdźbła. Nazywa się to *Rocca-San-Stefano*. Zdziwisz się, dlaczego mieszkańcy nie porzuca tych pustek, żeby osiąść nad brzegiem rzek, w żyznej okolicy, gdy przecież nie ma już Saracenów, ani nie ma obawy rabującej szlachty rzymskiej. Bo są rezygnacyjni z natury, i niezmiernie leniwi. Jakby przekleństwo niebios ciążyło nad tym kraikiem.

Nareszcie zastałem w Olevano Waltera z Mariną. Ona szczęśliwa ze mnie znów zobaczyła, on ponury i szorstki, acz wkrótce potem wypogodził czoło. Mówił mi, że zdecydowany jest ożenić się z nią, lecz teraz gdy już zapóźno, przychodzą mu na myśl wszystkie nasze uwagi, wszystkie nasze podejrzenia. Czy

nie był oszukany? Jój przeszłość, której tak przed nami bronił, wydaje mu się teraz chwilami pełną plam nie do zatarcia. Nie śmie powrócić do Rzymu, obawia się śmieszności przyczepionej do jego namiętności, a bardziej jeszcze obawia się niewierności tej, którą mimoto chce uczynić dozągonną swą towarzyszką. Jest więc bardzo nieszczęśliwy. Związek ich smutnym jest i niedoskonałym, nie jest jeszcze burzliwym, ale i to nastąpi, a biedna modelka żałować będzie, że jak posąg Pigmaliona, zeszła ze swego piedestału.

Palestrina, 14 listopada.

.... Właśnie odeszli odemnie. Walter utracił prawie zupełnie zamiłowanie sztuki. Prawie nic nie pracował od czasu twego wyjazdu. Słowami komponuje, rysuje jeszcze dzieła, które gdyby były wykonane, uczyniłyby go sławnym, ale wykonanie?.... Mógł mi zaledwie pokazać szkic obrazu, który mnie zastanowił, a który jak to dostrzegłem, sprawił na Marinie najgorsze wrażenie.

Jestto Magdalena, niepodobna wcale do Corregiowskięj, tej pięknej kobiety w niebieskiej tunice, która leżąc niedbale w cieniu pięknych drzew, czyta szczęśliwa, opromieniona śmiejącem się słońcem. Pojął on przedmiot głębiej i wybrał chwilę, w której pierwszy wyrzut napada grzesznicę. Wraca właśnie z uczty, która się przeciągnęła do rana. Upadła znużona na zdobne poduszki, w salonie przyozdobionym najwyższym zbytkiem. Błada jutrenka uwidocznia na ołowianem jój licu ślady znużenia, a po sukniach poznać można, że je pomiały szalony taniec. Rozmyśla nad swemi błędami, przestrasza się niemi i gorzko płacze. Usta ma drżące, wzrok osłupiały, a kurczowem drgnieniem ręki targa swoje naszyjniki brylantowe i perłowe, które rozsypują się po dywanie. Niewolnica zmysłowego typu, zdziwiona tą żywą boleścią, kładzie u stóp jój trupa głowę, symbol wyrzeczenia się uciech świata i nicności doczesnego życia. Ten sposób zrozumienia przedmiotu, wydał mi się nowy, i wielkiego moralnego znaczenia. Nie przypominam sobie, iżby go którykolwiek z nowych lub starych malarzy tak wykonał. Tylko, że Walter natchniony był rysami twarzy Mariny, więc zdaje się jój że umyślnie czyni aluzję do jój przeszłości, cierpi przeto z tego powodu nie mało. Czarny obłok przesłania się po ich pięknym niebie.

Gdym się żegnał z Mariną, rzekłem jój: „Do widzenia” ale ona przerwała mi smutnie: „Nie tém słowem żegnaj mnie pan; czuję że mnie wzywają dawni bogowie: trzeba mi do nich powrócić.”

Walter przeciwnie czuł ulgę z mego odjazdu; nie dlatego żeby mnie nie kochał, lecz że jest podejrzliwym, i że szuka samotności, lubo nie może znaleźć spokoju...”

Tu się kończą listy. Mało już później dowiedziałem się o mych przyjaciółkach. Tyle tylko: nie byli szczęśliwi, przechodzić musieli przesilenia konieczne w związkach źle dobranych. A żeby podnieść biedną Marinę, potrzeba jój było najzupełniej zaufać,

podeprzeć ją silném ramieniem, i uszlachetnić bardziej jeszcze jój szlachetne pocucia. Walter nie podołał zadaniu, a kochając ją bardzo, sprawiał jój srogie cierpienia.

Poganizm wyrabiał serca dzielne, ale twarde i nieczułe; chrystyanizm, religia miłości, łagodząc dusze, uczynił je skłonniejszemi dla boleści, lecz jeżeli nieskończonością i wzniosłemi nadziejami któremi je podtrzymuje, przygotował im tém większe cierpienia: to za to do przebycia tych cierpień, udzielił światła i skutecznej pomocy. Na nieszczęście Marina należała tylko sercem do bieżącego wieku; w rzeczy samój, sztuka była jedyną jój czią, a ta część która wystarczyć mogła za czasów Sapho i Korynny, pozostawiła ją bez obrony w obec smutków i upadków ducha nieznanych starożytnym, ale znanych dzisiaj tym, których przeznaczenie zawiodło. Jój smak czysty, duma Rzymianki, jój naiwna pycha i wszystkie przynioty, które ją od innych odróżniały, musiały się stać dla niej źródłem zgryzot i cierpień. Ażeby je znieść, powinna była zaczerpnąć siły w krynicy płynącej wysoko; lecz ona, dziecię natury, piękna poganka, nie miała nikogo na około siebie, któryby jój w tém pomógł. Musiała upaść w tej walce. Tak, jak zapowiedziała w swém melancholijném pożegnaniu, poszła złączyć się z świetnym chórem bogów starożytnych!

Edward L...

